

Trylogia tatrzańska

Wawrzyniec Żuławski

Sygnały ze skalnych ścian

Tragedie tatrzańskie

Skalne lato

wstęp

Janusz Kurczab

Wydawnictwo Sklepu Podróżnika
Warszawa 2015

Dwudziestoczerogodzinny dzień pracy

13-14 lipca 1933 r.

Nie znam chyba miłszego zajęcia, jak w pogodny, słoneczny dzień letni balansować między niebem a ziemią na urwistej tatrzańskiej grani. Jeśli jest nią grań Mięguszowiecka, spadająca ku przełęczy gęstwą ostrych iglic skalnych – z lewej strony widoczne jak na dłoni Hińczowe Stawy, z prawej, zdawałoby się tuż pod stopami, Morskie Oko – jeśli słońce przypieka tak, że granit niemal parzy dłonie, jeśli wreszcie towarzyszem jest tak wyborny wspinacz i tak przemiły kompan, jak Bolek Chwaściński, chluba polskiego taternictwa – dzień taki śmiało mogę zaliczać do najbardziej udanych wspomnień górskich. Jak tancerze na linie suniemy lekko po wążutkiej krawędzi między dwoma otchłaniami, niby łódka na falach powietrznego morza wznosi się szczyt iglicy, opada w szczybę grani pod następną turniczką i znowu w górę...

Gdyśmy stanęli na przełęczy, ukończywszy grań Mięguszowickiego Szczytu Środkowego – wprost żałowaliśmy, że przebyta droga nie była jeszcze o godzinę lub dwie dłuższa.

Z przełęczy trzeba zejść kawałek zlebem w dół ku Hińczowym Stawom i tzw. kominem Martina w górę z powrotem na grań Mięguszowieckiego. Ten odcinek to najtrudniejszy fragment drogi. Dopiero teraz czeka nas główna robota. Ba! niewielka to robota dla młodych, dobrze wysportowanych ludzi wspiąć się kominkiem i przewinać przez zamykającą go



Od lewej Zofia Paryska, Wawrzyniec Żuławski, Stefania Grodzieńska
w górnej części Doliny za Mnichem, w głębi po prawej Mnich

przewieszkę. Jeden hak wbity pod przewieszką – ot tak, „na wszelki wypadek”, i już gonimy po szerokiej łatwej grani. W dziesięć minut później wygrzewamy się na szczytowych głazach Mięgoszowieckiego.

Zejście w dół długie i nieco zawikłane. Za to po grani ku Hińczowej Przełęczy można pędzić szybko, zwłaszcza że nietrudny teren nie zmusza do asekuracji liną. Z przełęczy tylko „skoczyć” na Pola pod Cubryną⁹, a dalej – nieco już tracąc na tempie – poprzez rozliczne kociołki, piarżyska i płaty śniegu – do ścieżki w Dolinie za Mnichem. Nie spieszy nam się już zresztą. Nie ma co! Oblecieliśmy kawałek drogi: z Morskiego Oka na Przełęcz pod Chłopkiem, potem na Mięgoszowiecki nad Czarnym, stamtąd granią poprzez Mięgoszowiecki Środkowy i Główny na Hińczową Przełęcz, a teraz – dokładnie dookoła – przez Dolinę za Mnichem dochodzimy właśnie w lekko zapadającym mroku z powrotem do Morskiego.

⁹ Obecnie te pola piargów noszą nazwę Wielka Galeria Cubryńska (przyp. red.).

Jeszcześmy nie wstąpili na schodki wyprowadzające znad stawu na morenę, gdzie stoi schronisko, gdy jakaś znajoma postać wybiegła nam naprzeciw. Poznajemy już z daleka naszego przyjaciela, jednego z najśmielszych zdobywców urwisk skalnych, jacy kiedykolwiek po Tatrach chodzili – no, czyż trzeba zresztą tłumaczyć, kim był Wiesław Stanisławski¹⁰?

Wiesiek przyjechał właśnie dziś prosto z Warszawy, przywiózł ze sobą młodego, doskonale zapowiadającego się taternika Witolda Wojnara, którego nam zaraz zaprezentował – no i oczywiście przywiózł również masę planów taternickich. Jego wyrazista twarz o wydatnych szczękach, znamionujących siłę, twardy upór i wolę, jego pełne energii oczy promieniają, gdy opowiada nam o tych planach: to trzeba zrobić, tam „drogę” na pionowej ścianie „wyprostować”, tu i ówdzie znajdują się niezdobyte, a godne przejścia urwiska... To przecież jego ostatni sezon tatrzański! W jesieni służba wojskowa, potem wyjazd za granicę – też w góry! – ale już inne, wyniosłe, niezdobyte, niedostępne.

Gdy rozmawiając wyszliśmy na platformę moreny przed schroniskiem, zjawił się przed nami stale rezydujący w Morskim delegat Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego – Bohdan M.

– Nie spieszcie się zanadto do schroniska – wita nas od razu – czeka was niespodzianka. Tylko co turyści wracający znad Czarnego Stawu donieśli, że w północnej ścianie Mięguszowieckiego woła ktoś o pomoc. Dzwoniłem już do Pogotowia, ale skoro tu jesteście, to jazda z powrotem w górę.

Istotnie, zajęci rozmową nie zauważyliśmy niezwyklego ruchu przed schroniskiem. Tłum ludzi wpatruje się w doskonale po przeciwnej stronie stawu widoczną ścianę, rozprawia, gestykuluje. Kilka lornetek pracuje wytrwale, ale w wieczornym zmierzchu letnim nie sposób wypatrzeć drobnego punktu, jakim jest sylwetka ludzka z tej odległości. Coraz to ktoś pokazuje jakąś sterzącą ze ściany skałkę (która w rzeczywistości ma rozmiary kilkupiętrowej kamienicy), przysięgając na wszystkie świętości,

¹⁰ Wiesław Stanisławski – zdobywca wielu przejść o najwyższej skali trudności. Zdobyte przez niego ściany: wschodnia Mnicha, północna Żabięgo Konia, zachodnia Łomnicy, drogi na północnej ścianie Galerii Gankowej i Małego Kieżmarskiego, zimowe drogi na Zadni Gerlach, Lodową Przełęcz Wyżnią i wiele innych, były największymi osiągnięciami taternickimi lat międzywojennych (przyp. autora).

że – „rusza się”. Jednakże w krótkich chwilach, kiedy udaje się uciszyć zgromadzenie, dochodzi słabe, ale zupełnie wyraźne wołanie na pomoc.

Do diabła! Trzeba zaraz pędzić, a tu dwunastogodzinny kurs czujemy dobrze w nogach.

Podają nam naprędcę coś gorącego do zjedzenia. Popijając kwaśnym mlekiem, jemy tak szybko, jak tylko pozwalają nam natrętne pytania i „trafne” rady licznych gapiów.

W dziesięć minut jesteśmy gotowi. Łapiemy plecaki i cała nasza czwórka biegiem puszcza się dookoła zachodniego brzegu Morskiego Oka. Na piargach pod północną ścianą Miękusowieckiego nie zwalniamy tempa. Nie wiem, czy upłynęło dwadzieścia minut, a już znaleźliśmy się pod ścianą. Teraz ocieramy pot obficie płynący z twarzy, łapiemy oddech i robimy krótką naradę. Krzyków nie słyhać – widocznie zagłuszają je najbliższe formacje skalne. Znając jednak konfigurację ściany, domyślamy się, że skądkolwiek nieszczęśliwy turysta poleciał, powinien się znaleźć w niewielkim kociołku w dolnej części ściany, gdzie zbiegają się wszystkie jej żleby i kominki. Wobec tego postanawiamy się rozdzielić na dwie partie i zlustrować partię ścianę poniżej kociołka, który został obrany jako miejsce spotkania. Bolek Chwaściński rusza z Wojnarem ściankami sporej buli zamykającej dojście do kociołka, drogą mniej więcej identyczną ze szlakiem opisanym w przewodniku – my z Wieskiem próbujemy zaatakować ściankę na prawo od wspomnianej buli.

Wiesiek wiąże się ze mną liną i pierwszy atakuje ścianę. Od razu widać, że część zadania przypadająca na nas jest – przy zupełnej ciemności – nie do wykonania. Wiesiek wspina się kilka metrów, z trudnością wyszukując na oslep chyty i stopnie. Gdy wbił hak, doszedłem i ja do niego, powierając się więcej szczęściu niż własnym umiejętnościom, które i tak tu na nic się nie mogły przydać. Wiesiek szturmuje znowu. W pewnej chwili o mało nie odleciał od skały; musimy wkrótce uznać całe przedsięwzięcie za bezcelowe i wycofać się ze wstydem z powrotem do miejsca, gdzie rozstaliśmy się z naszymi towarzyszami¹¹. Ci tymczasem są już wysoko w ścianie buli. Nic dziwnego zresztą – teren mają znacznie łatwiejszy,

¹¹ Ścianka ta została pokonana po raz pierwszy dopiero w r. 1949 przez K. Bruna, A. Nunberga i T. Orłowskiego. Przejście to zostało uznane za bardzo trudne (przyp. autora).

a przy tym znany Bolkowi z normalnego dziennego przejścia. Sylwetki ich są zupełnie niewidoczne w ciemności – słyszymy tylko rozmowy. Nawijujemy z nimi kontakt głosowy.

– Halo! – wrzeszczy Wiesiek – jak tam?!

– Ano – odpowiada z wysoka z czarnej pustki głos Bolka – ciemno jak lichy, nic nie widać, tylko co przydepnąłem nogą własną rękę.

– A „jego” słyszycie przynajmniej?

– Owszem, troszkę się odzywa, ale jakoś z daleka i nie mogę wyłapać kierunku.

Impreza wygląda właściwie dość szaleńczo. Szanse pomożenia ofierze wypadku – minimalne, szanse skrzywienia karku – bardzo duże. Rozsądek każe wrócić i zaczekać kilka godzin do świtu. Rozsądek tak, ale...

– Wracaj – krzyczy Wiesiek – nic na razie nie pomożesz, do rana tylko parę godzin!

– Dobrze, a jak zleci do reszty? – replikuje Bolek i szamocze się dalej w ciemnościach.

– Wracaj, wariacie, skrzyśz łeb i ty, i Witek – irytuje się już na dobre Wiesiek.

– Nic się nie martw, wyśpij się trochę, a jutro przyjdziecie do nas – przecina dyskusję Bolek.

Jeszcze parę chwil słychać głosy. Padają krótkie wskazówki i rozkazy: „lina”, „ściągnij”, „uwaga”, „idę” – a potem zapada cisza.

Od szosy wiatr przynosi daleki warkot motoru. Jedzie samochód z Pogotowiem. Siadamy na głązach, rozmawiamy. Cóż w końcu pozostaje nam do zrobienia! Umawiamy się z Wieśkiem na sierpień; będziemy chodzić razem, to było postanowione już w Warszawie. Warkot samochodu jest coraz bliższy, słychać go wyraźnie poprzez szum wodospadów. Chwilami nagły błysk reflektorów przebiega po uśpionych lasach pod Żabim. O, teraz coś błysnęło znowu, na prawo od nas. Ale nie, to nie reflektor. To księżyc zaświecił rąbkiem przez wrota Żabiej Przełęczy. Schował się za Żabiego Konia. Znowu rozświecił na chwilę kotłnię Czarnego Stawu i znowu zniknął za granią, na dłużej tym razem. Za to ostry blask świateł samochodowych wyłonił się niespodzianie zza ostatniego zakrętu szosy. Podjechali bliżej, stanęli i skierowali reflektory na ścianę. Snop światła oślepił nas na chwilę i przesunął się wyżej na miejsce, gdzie prawdopodobnie

wspinali się nasi przyjaciele. Ach, gdyby tak zatrzymać światło – Bolek z Wojnarem mogliby iść, prawie jak w dzień! Niestety, lustrują ścianę dalej i światło przesuwa się w górne jej partie. Wymachujemy latarkami, pragnąc kierować ruchami reflektora. Nasze światło nie było jednak z odległości blisko dwóch kilometrów widoczne lub też znaki nie zostały zrozumiane, dość że po chwili ludzie z auta zaprzestali swych usiłowań i podjechali pod samo schronisko.

Siedliśmy z powrotem na kamieniach. Niewiele czasu minęło, gdy ujrzeliśmy cztery nikłe światełka latarek sunące szybko ku nam. Już wznoszą się po stromym usypisku. Schodzimy kawałek, zapalamy latarki.

– Kto tam? – słyszymy wołanie.

Mówimy nazwiska i witamy się z przybyłymi. Są wśród nich dwaj nasi koledzy: Tadek Pawłowski i Tadek Brzoza – obaj znakomici taternicy, a z nimi dwaj przewodnicy: Stanisław Roj i Wojtek Wawrytko-Krzepkowski.

– A tamci gdzie? – pada pytanie.

Zdajemy krótką relację.

– Wariaci! – wyrokują wszyscy, ale tak jakoś z dziwnym szacunkiem.

Po radzie postanawiamy zabiwakować do świtu. Każdy z nas wkłada na siebie, co może, i układa się, gdzie może. Podłożyłem sobie linę pod bok i wygodnie rozciągnąłem się między głazami.

Na wprost miałem kotlinę Czarnego Stawu. Księżyc właśnie znowu pokazał rąbek zza Wołowej Szczerbiny. Powoli, bez pośpiechu wspiął się na grań Wołowego Grzbietu i począł toczyć się nią – przysiągłbyś – obniżając się nieco w przełęczkach, gramoląc się w górę na turniczki. Tak jak my w dzień, tak teraz księżyc balansował wdzięcznie po grani, a jego niebieskawe, zimne światło zalewało szczyty, żleby i kamienne usypiska. Potok w dole błyszczał jak srebrna nitka wskroś ciemnego boru.

Tak w pół drzemce, pół marzeniach mijała krótka noc letnia.

Budzimy się jeszcze po ciemku. Przeciągamy się, poprawiamy na sobie wymiętoszone ubrania i z rękami w kieszeniach – skuleni nieco z zimna – czekamy światła dziennego.

Świt zastaje nas już w żlebie, na lewo od buli, kędy wiedzie droga poprzez północną ścianę Mięguszowieckiego Szczytu. Teren wydaje się nam obecnie wprost dziecinnie łatwy. Szybko pokonujemy próg żlebu i posuwamy się śniegiem ponad nim. Niedługo potem słyszymy nad sobą

okrzyk i w szarym świetle poranku widzimy sylwetkę Bolka czerniejącą na trawiastym grzbiecie buli.

– Tu chodźcie! – krzyczy Bolek.

Zbliżamy się do niego szybko.

– Wszystko w porządku? – pytamy, witając się.

– Wszystko w porządku – odpowiada – udało nam się po ciemku wyjść tu, na grzbiet buli, a stąd usłyszeliśmy od razu jego krzyki i doszliśmy na miejsce wypadku. Wyobraźcie sobie, chłop miał niesamowite szczęście. Odpadł, schodząc tym tu kominem, doleciał na sam dół, śmignął przez ten stromy śnieg i zatrzymał się tuż nad krawędzią urwiska. Gdyby „rąbnął” dalej, nie byłoby co zbierać.

Oglądamy miejsce, gdzie Bolek z Wojnarem znaleźli ofiarę wypadku. Dosłownie metr czy półtora dalej zaśnieżony żleb urywa się siedemdziesięciometrową ścianką, tą właśnie, którą daremnie szturmowaliśmy w nocy z Wieśkiem. Miejsce, w którym leżał, jest mocno nachylone ku przepaści. Gdyby nie odważna decyzja i szybka interwencja Bolka i jego towarzysza, jest więcej niż prawdopodobne, że niefortunny turysta – trawiony gorączką spowodowaną poniesionymi ranami, byłby się stoczył się w ciągu nocy poza krawędź urwiska. Zimna krew Bolka niewątpliwie ocaliła mu życie.

– No dobrze – pytamy – ale gdzież on jest?

Okazuje się, że jeszcze w nocy przenieśli go na bezpieczniejszy teren i jest w tej chwili pod opieką Witka Wojnara.

Idziemy grzbietem kilkanaście kroków do miejsca, gdzie tworzy się olbrzymia trawiasta platforma, porośłą kosodrzewiną. Tu pod krzakiem kosówki widzimy Witka, a obok niego... Brrr... Usiadłem szybko tam, gdzie stałem, i z udanym zainteresowaniem odwróciłem się ku pięknej panoramie Morskiego Oka. Proszę mi wybaczyć tę słabość – wszakże to był mój pierwszy autentyczny „umrzyk” górski. Ta twarz sina od potłuczeń i czerwona od zakrzepłej krwi, ten nos, który mu służył widocznie za hamulec w czasie zjeżdżania przez śnieg, te ręce jakby ze skóry obdarte! Wszystko to właściwie powierzchowne skałeczenia, ale wyglądało okropnie!

Korzystając z krótkiego odpoczynku, wypyujemy rannego, którym się okazał F. M., Polak, studiujący na uniwersytecie w Pradze, jakim cudem się tu właściwie znalazł? Widać od razu, że jest to zupełnie niedoświadczony turysta, i mimo dobrych chęci nie umiał nam dokładnie wyjaśnić, gdzie chciał

iść, którędy szedł i gdzie go spotkał wypadek. Faktem jest, że zrobił to, co właśnie robią niedoświadczeni turyści, a mianowicie schodził do schroniska przy Morskim Oku „na przełaj”... wprost północną ścianą Mięguszowieckiego Szczytu. Wątpię, żeby zszedł z samego wierzchołka, bo ściana jest trudna i cały czas bardzo stroma, byłby to więc dziw nad dziwy, że nie skręcił na niej karku. Czy zaplątał się na ścianę od strony Hińczowej Przełęczy, czy przedostał się na nią jakimś sposobem od Kotła Mięguszowieckiego – nie wiem tego do dzisiaj.

Przewodnicy robią mu prowizoryczny opatrunek, my tymczasem przygotowujemy się do zejścia. Uwiązujemy rannego i przewodników na kilku posiadanych linach i rozmieszczamy się po obu stronach żlebu dla zapewnienia im mocnej asekuracji. Przewodnicy wzięli rannego silnie pod ramiona i powolutku zaczęli sprowadzać go żlebem. Tadek Pawłowski chodził luzem bez asekuracji, doglądając grupy schodzących. To pomagał rannemu, to znów ustawiał stopę któregoś z przewodników, którym nie wolno się w takiej sytuacji poślizgnąć ani na centymetr. Podziwiamy pewność Tadka w poruszaniu się na stromym śniegu, zwłaszcza że biedak miał na nogach jakieś resztki butów turystycznych, ogołocone ze wszelkich gwoździ¹², rozkładające się jak stare kalosze.

Co pewien czas cała grupa zatrzymywała się, a wówczas przesuwalimy nasze stanowiska asekuracyjne o kilkanaście metrów niżej. Najwięcej kłopotu sprawił nam kilkumetrowy próg żlebu, przez który musieliśmy spuszczać rannego na linie, podczas gdy inni podtrzymywali go z dołu i z boków. Za to poniżej progu, gdzie zaczynają się już piargi, niefortunny turysta spróbował stąpać o własnych siłach, a gdyśmy trawersowali wspinałe łany paproci, rosnące niemal z podzwrotnikową bujnością u stóp północnych ścian Mięguszowieckiego – szedł już wcale rażno, z lekka tylko podtrzymywany przez dwóch z nas. Dalsze zejście po piargach w dół nad staw odbywało się w nieco żółwym tempie, ale na ogół dość sprawnie.

W międzyczasie Tadek Pawłowski zbiegł szybko nad brzeg Morskiego Oka i dziarskimi okrzykami tak skutecznie przywoływał stojącą koło schroniska łódź, że gdyśmy wreszcie znaleźli się nad stawem, łódź dobijała już prawie do brzegu. Dzięki temu po krótkiej chwili wygodnie rozparci w łodzi pruliśmy spokojne fale jeziora.

¹² Dawniej do okucia butów turystycznych używano specjalnych gwoździ (przyp.red.).



Rysy i Niżnie Rysy, widok sprzed Morskiego Oka

Na przystani przy drugim brzegu witają nas w komplecie wszyscy mieszkańcy schroniska: goście, turyści i personel z zarządcą Morskiego Oka, niegdyś czynnym taternikiem, Teofilem Janikowskim na czele. Pomagamy najpierw rannemu wysiąść z łódki, po czym krótką relacją zaspokajamy ciekawość obecnych.

Zanim po „dwudziestoczworgodzinny dzień pracy” będziemy nadrabiać w wygodnych łóżkach nieprzespaną noc (jest właśnie szósta rano), trzeba przecież zjeść coś niecoś. Kawa i bułki to dobre dla wyspanych i wypoczętych – nie dla nas! Zamawiamy coś solidniejszego. Porcje bigosu i małe piwa znikają jedno po drugim.

Nie przysięgnę, ile takich porcji zjadł wówczas Tadek Pawłowski obdarzony z nas wszystkich najlepszym apetytem – nam go zresztą też nie brakowało. Stwierdzam tylko lojalnie, że nasz „klient” osobiście doglądał, aby Tadek nie próżnował ani chwili.

– Choremu nie wolno się sprzeciwiać – stwierdzał łagodnie Tadek i zamawiał nową porcję bigosu.

Spis treści

Nota redakcyjna	3
Wstęp	4
Sygnaly ze skalnych ścian	11
Na ratunek	12
Dwudziestoczerogodzinny dzień pracy	24
„Udana” wycieczka	34
Tragiczny dzień	39
Przez Kondratową najbliżej...	50
Niefortunna przygoda	55
„Święto gór”	67
W ścianach Rumanowego i Ganku	71
Śmiertelna wyprawa	79
Noc w Buczynowej Dolinie	92
Żleb Karczmarza	103
Koniec opowieści	114
Tragedie tatrzańskie	121
Droga ku śmierci	122
W ścianie Małego Jaworowego	130
Zradziecka pułapka Granatów	143

Zamarła Turnia	152
Tajemnica Doliny Jaworowej	169
Śmierć Birkenmajera	177
Gdy Tatry ogarnie powódź...	186
W sierpniowej śnieżycy	195
Skalne lato	215
Rzecz o duchach	216
Pochwała samotności	232
Przygoda na Śnieżnej Kopie	245
Nie wszystkie drogi prowadzą do celu	264
Słownik	271
O osobach pojawiających się w książce.	281